

Prawie każdy, komu życie upłynęło z dala od rodzinnych stron i kto nie biegnie nad przeszkodami lat, tracąc dech w ekstazie pogoni za jakimś celem – więc każdy, kogo nie łudzi już nadzieja, że drugi koniec drogi jest ważniejszy od pierwszego, nosi w sobie sentyment do początku swych dziejów i prędzej czy później odczuje pragnienie, by odwiedzić tamto miasto albo wieś, aby jeszcze bodaj raz spojrzeć na stary, opuszczony kiedyś dom, z którego rozwinęła się w nieznaną wówczas przestrzeń świata bardziej lub mniej zawiła linia jego losu.

We mnie nostalgia ta odezwała się w czterdziestym pierwszym roku życia – podczas długiej morskiej podróży. Dotąd wcale nie znałem tego przejmującego uczucia. Wszelkie określenia, jakimi ludzie je opisują, zaliczałem do zbioru pustych słów. Czyż nie lepiej jest przemierzyć przestrzeń i dogonić czas? Po co go tracić na jakiegokolwiek powroty? Na żadnym z kontynentów nic nie przypominało mi krajobrazów ojczystego kraju. Tęsknotę za porzuconym domem odczułem dopiero na pełnym morzu, gdy ogarnąłem wzrokiem bezmiar wód oceanu, w takim bowiem otoczeniu upłynęło mi całe dzieciństwo. Odtąd cierpiałem bez żadnej nadziei na zaspokojenie rozbudzonego pragnienia, aż późnym wieczorem pewnego dnia po raz pierwszy od trzydziestu dwóch lat usłyszałem znowu to święte dla mnie słowo: Arka.

Jak zwykle o tej porze wyszedłem z kajuty, aby spojrzeć przez panoramiczne okno. Opustoszały już wszystkie pokłady i tylko w jednym z barów, gdzie spędziłem dłuższy czas, siedziało jeszcze kilkanaście osób. Nie przyglądałem się im ani ich nawet nie słuchałem. Zajmowali stoliki w oddległym kącie lokalu. Zatopiony we własnych myślach nie zwracałem uwagi na treść prowadzonej tam rozmowy, aż nagle ktoś, kogo wielokrotnie nazwano „nawigatorem”, wymówił magiczne zdanie: „Nad ranem minie my Arkę”.